

WYZWANIA I KIERUNKI POLITYKI MEDIÓW

Krzysztof Zanussi, reżyser

Dziękuję za zaproszenie, ale ryzyko, które Państwo ponosicie, pozostawiając mi czas i miejsce na trybunie, spada na Was, bo ja na tym wszystkim, o czym Państwo tutaj rozmawiają, zupełnie się nie znam. Ale jak przystało na artystę: ponieważ się nie znam, to chętnie coś o tym powiem. Nie wiem jednak, czy warto mnie słuchać.

Zacznę od relacji dotyczącej pewnego politycznego sporu. Ten spór polityczny na szczęście odbywa się za granicą, wobec czego mogę o nim bez skrępowania mówić w Belwederze.

Od lat śledzę ciekawą i bardzo głęboką kontrowersję dwóch prezydentów, których mam zaszczyt znać osobiście. Myślę o panach Vaclavach: Havlu i Klausie. Havel, który przez swoje lata dysydenckie może jest bliżej związany z Polską, jako polityk bardzo mocno podkreślał pewną prometejską, przywódczą rolę klasy politycznej i to się dosłownie przekłada również na media. Media rozumiane wedle tej samej filozofii mają taką prometejską rolę, to znaczy mają misję do spełnienia. Pan Klaus, który był i jest radykalnym liberałem, uważa swoją postawę za dużo bardziej nowoczesną, gdyż jest to postawa wsłuchiwania się w opinię publiczną, w głos ludu. Polityk ma bowiem robić to, czego lud sobie życzy i o czym marzy. Nie ma się mądrzyć, nie ma mu przewodzić, tylko ma wykonywać to, co jest ludowi potrzebne.

Proszę Państwa, to się także przekłada na media. Jakie chcą być media? Czy mają aspiracje przywódcze, to znaczy chcą coś w narodzie zaszcześcić? Czy mają narodowi sprawić największą możliwą przyjemność i satysfakcję, czyli zebrać największą możliwą widownię?

W Polsce ta sprawa została przesądzona nieszczęśliwą ustawą medialną, która uczyniła z telewizji publicznej spółkę prawa handlowego. Miało ją to ochronić przed polityką, natomiast wpędziło w komercję, a przed

polityką nie uchroniło nijak, bo ta spółka prawa handlowego postępuje dalej czasem nieracjonalnie, niezgodnie ze swoim interesem handlowym, a z kolei we wszystkich najważniejszych sprawach dotyczących kultury ulega populizmowi, gdyż chce mieć największą oglądalność. I za cenę tej największej oglądalności zafunduje nam wszystkie okropności, które przyciągną szeroką widownię.

Jak to się ma do terroryzmu? Terroryzm jest jednym z tematów dzisiejszego świata. Państwo się na tym znają nieskończenie lepiej ode mnie, ale ja jako artysta i laik w tej dziedzinie odczuwam terroryzm jako pewną pochodną demokracji. Ponieważ demokracja, w której żyjemy, nie mierzy intensywności naszych przekonań, tylko traktuje je wyłącznie ilościowo, czyli kwantytatywnie, nie patrzymy więc na to, jak bardzo mi na czymś zależy, tylko ilu nas skłania się do tego czy tamtego. Otóż jeżeli mniejszość ma bardzo wielką siłę przekonania czy zdolność do dużo większych poświęceń dla swoich idei, to ta mniejszość nie znajduje w demokracji wyrazu i sięga po przemoc, bo właśnie w tym może mieć przewagę. Czyli kilku, którzy chcą bardzo, waży więcej niż wielu, którzy chcą słabiej.

Do tego mitologia terroryzmu jest na całym świecie niesłychanie pozytywna. Wpisuje się bowiem w archetypy kulturowe – począwszy od Dawida i Goliata – o słabszym, ale dzielniejszym przeciwko większemu, ale leniwemu i ospałem. Ponieważ za mniejszością opowiada się instynktownie każdy, a za słabszym opowiada się każdy ze względów moralnych, więc siłą rzeczy Czerwone Brygady czy niemiecki terroryzm z lat 60. miały ogromne poparcie wśród intelektualistów i artystów. Jeżeli oglądam filmy na ten temat, to widzę, że do tej pory są one pełne czułości i rozrzewnienia na widok idealizmu ludzi, którzy ryzykowali śmierć i więzienie dla swoich szczytnych przekonań. Że te przekonania mogły być fałszywe, to właściwie jest sprawą drugorzędną, więc w emocjach nie odgrywa to większej roli.

I tu pojawia się poważny problem, czyli telewizja, która chce być popularna, więc wyrzeka się swojej misji prometejskiej, wychowawczej, a ustępuje przed liberalną wizją rynku, z której wynika, że ludziom należy pokazać to, co chcą oglądać. Otóż ludzie będą chcieli oglądać ten rodzaj archetypu, ten rodzaj bajki, w której mały i mocny zwycięży tego wielkiego, ponieważ moc ducha zwycięża moc materii. To jest kłopot, jaki się kroi, ilekroć mamy do czynienia z terroryzmem.

Drugi problem, który jest zupełnie inny, to kwestia wiarygodności mediów. Otóż media nie są wiarygodne, a krytyczny odbiorca często łapie je na przekłamaniach. Łapie je na podejrzanych intencjach i to mści się zawsze w warunkach trudnych. Kiedy bowiem dochodzi do złych czasów, to wtedy ujawniają się najgłębsze ludzkie przekonania, że media kłamią: „jak tak mówią w telewizji, to na pewno musi być odwrotnie”, „jak tak piszą w gazetach, to znaczy, że tak nie jest”. Mamy to głęboko ugruntowane z czasów komunizmu, a czasy demokracji, ostatnie dwadzieścia lat, nie poprawiły tego stanu rzeczy na tyle, żeby istniało powszechne przekonanie o tym, że mediom w trudnych chwilach można ufać. Raczej spodziewamy się, że zostaniemy zmanipulowani.

Są to ogromne niebezpieczeństwa, które widzę jako obywatel. Ponieważ sam mediom nie ufam – i mam po temu powody – jeśli nie będę czegoś pewien, wówczas w krytycznej sytuacji będę podejrzewał, że media są zakłamanie, że mną manipulują, że działają nie w interesie kraju, tylko w interesie różnych drobnych grup interesów, które mają dostęp do dziennikarzy. I to jest stan, który mnie szalenie martwi. Ale muszę skonstatować uczucie, że zagrożenia terrorystyczne tym bardziej napawają mnie lękiem, gdyż w moim społeczeństwie nie czuję zaufania ani do władzy, ani do mediów. W porównaniu z tym, co obserwujemy w społeczeństwie amerykańskim czy nawet w społeczeństwach zachodnioeuropejskich, w Polsce to zaufanie jest bardzo małe. I to jest strata, którą ponosimy przez panujący populizm i instrumentalizację mediów, trwającą od wielu ekip rządzących.

Z drugiej strony instrumentalność traktowania mediów idzie w parze z ich – w gruncie rzeczy – najgłębszą obojętnością na wszelkie istotne wartości. W lotnictwie funkcjonuje system rozpoznawania samolotów: „swój – obcy”. Jest to także jedyne kryterium oceny rzeczywistości, które ja spostrzegam w mediach, szczególnie elektronicznych: nieważne, co kto myśli, ważne, czy jest „swój”, czy „obcy”? Jak „swój”, to może robić wszystko.

Proszę spojrzeć na telewizję. Głosi ona wolność bez granic, radość z nieograniczonego spożycia. Społeczeństwo konsumpcyjne wyziera z niej właściwie jako ideał. Nie ma w niej mowy o jakichkolwiek zachętach do poważnego wysiłku, samoograniczenia, pracy nad sobą, rezygnacji z czegośkolwiek. Przeciwnie, duch tego, że nie ma żadnych wartości, duch postmodernistyczny jest w mediach szalenie obecny. Z prostego powodu – on się najlepiej sprzedaje.

Media, również publiczne, są w całości poddane prawom rynku. Dlatego nie abonament, ale reklamy stanowią o życiu tego molocha. No i do tego dochodzi kolejna rzecz. Żeby były gdzieś reklamy, tłum ludzi musi to oglądać. Ten tłum lubi to, co lubi i co jest odgadywane trafnie. Nastrój karnawałowo-biesiadny, pełnej nieodpowiedzialności zawsze wygra z jakąkolwiek próbą odwoływania się do wartości.

Wszyscy z zazdrością patrzymy na brytyjską telewizję, która finansowana z publicznych pieniędzy jest ogólnościowym wzorcem telewizji publicznej. Na terenie Wielkiej Brytanii zabrzmiałoby to niesłychanie nadęcie i napuszenie, ale poczucie odpowiedzialności i poczucie pewnej misji wychowawczej w obszarze kultury oraz w obszarze zachowań obywatelskich jest tam stale obecne.

Inne telewizje Europy w mniejszym stopniu, ale także spełniają ten wymóg, są postawione przed koniecznością zarabiania pieniędzy.

Wspomnę nie o terroryzmie, ale o rzeczy obecnie nam bliższej: o kryzysie finansowym. Myślę, że media będą napędzać ten kryzys, mimo że to podcina gałąź, na której siedzą. Budowanie paniki wzmacnia ten kryzys, ale z drugiej strony, jak podaje się paniczne wiadomości, to ludzie będą czekać na wiadomości. A to się przekłada na oglądalność. Czyli będą reklamy, aż do czasu, kiedy reklamowca zbankrutuje z powodu podawania tych panicznych wiadomości. I taki radosny zamknięty krąg w jakiś sposób nam grozi.

Żeby media jakoś ustabilizować, trzeba by inaczej zrozumieć ich rolę. W tym miejscu stanąłbym po stronie Havla i widziałbym jego całą działalność polityczno-publiczną jako poszukiwanie roli przewodniej klasy politycznej wobec swoich obywateli i mediów, które także powinny taką właśnie rolę pełnić. Ale jeżeli się powie „dyscyplina”, „samoograniczenie”, to za chwilę dostanie się kamieniem. Zaraz ktoś krzyknie „faszysta”, bo te słowa rzeczywiście jakby zagrażały wolności. To są słowa, które są źle przyjmowane przez opinię publiczną. Zostały tak zetykietowane, gdyż bywały rzeczywiście używane i nadużywane w okresach wielkich totalitaryzmów.

Tak więc nie mam nic radosnego do powiedzenia sobie i Państwu. W mediach, w których dziś funkcjonuję, nie czuję się komfortowo, no ale nikt mi tego komfortu nie obiecał.

Mam działać na rzecz tego, żeby media były lepsze i – w moim wyobrażeniu – one będą lepsze, kiedy będą śmieiej pełniły funkcję wychowawczą, przewodnią, będą miały śmiałość proponowania czy przedkładania swoim widzom wartości. Nie tych, które ci widzowie już wybrali, ale takich, które mogliby wybrać. Tak bym to właśnie widział.

Ponieważ zacząłem z tymi Czechami – Havlem i Klausem, więc na nich skończę. Otóż znając obu tych panów, pojechałem na festiwal w Karlowych Warach. Było tam szalenie miło, bo w czasie kolacji z prezydentem Havlem bardzośmy sobie miło wspominali czasy „Solidarności”. Miałem wielką radość, że siedzę obok człowieka, którego także jako polityka mogę akceptować. Czesi mają do niego dużo pretensji, a ja nie miałem żadnych i wiedziałem doskonale, że w sporze z Klausem on się nie myli. Potem było zakończenie festiwalu, a ja byłem przewodniczącym jury. Po rozdaniu nagród korytarzem z przeciwka, ze swoim ogromnym dworem i masą błyskających fleszy, szedł ówczesny premier Klaus. No i tak spotkaliśmy się pośrodku tej drogi, ja mu się jeszcze raz przedstawiłem, przypomniałem się, że „jestem ten polski reżyser”. Na co Klaus rozłożył szeroko ręce i powiedział: „Co pan mówi, ja się wychowałem na pana filmach. *Barwy ochronne* to przecież film mojej młodości”. Gdy to usłyszałem, poczułem ten przedziwny, ciepły nastrój w sercu. Od razu przyszła mi do głowy myśl, że jednak to Klaus, a nie Havel ma rację, że ja może niepotrzebnie go tak krytykuję, skoro on tak mnie ceni.

Proszę Państwa, taka jest natura artystów! Proszę o tym pamiętać przy wszystkich swoich życiowych spotkaniach. A ja dobrowolnie zadałem sobie taką karę, że tę historię – niezbyt dla mnie pochlebną – opowiadam.